

HISTORIA SEKTORA ENERGII nr 1/2020

Nafciarz w czasie zarazy. Ignacy Łukasiewicz

1822 - 2022

Anna Kozicka - Kołaczowska¹

To prawdziwie historia na dziś. Jak sequel, wprawka lub przyczynek do książki o polskim, światowym gigancie, z którego laboratorium na zapleczu apteki wyruszył rollercoaster cywilizacji ropy naftowej. Którego pierwszym powołaniem i drogą do nafty była farmacja.

Gdyż oto inwazja tajemniczych wirusów obraca w gruzy nasz świat. Drwi z książąt i chudeuszy. Kosi równo pocziwych szaraków i niegodziwców. Nie robi wyjątku dla świętych, którzy niosą pociechę i ratunek. Rozwiało się obojętne, pobłażliwe politowanie dla wieków, które nie znały aspiryny ni penicyliny. Stanęliśmy drżący w szpitalnym gieźle z niepewną i głupią miną skrytą za nadrealistyczną „maseczką”. To doświadczenie zagubienia i dezorientacji elit i całych narodów porwanych do makabrycznego tańca wyostrza spojrzenie na sprawy i heroizm zmagających przeszłych pokoleń.

Kiedy więc z dnia na dzień staliśmy się bezbronnymi bohaterami z Bruegla wtłoczonymi w ramy jego „Triumfu śmierci”, gwałconymi widokami stosów plastikowych trumien, wizjami ostatecznych ryzyk i skutków epidemii, tym jaśniej na scenie wyobraźni wyłania się także dzieło takiej, życiowej misji Ignacego Łukasiewicza, jaką była charyzmatyczna walka z drugą w XIX wieku pandemią cholery.

¹ Anna Kozicka - Kołaczowska – absolwentka slawistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, logopedii ogólnej Uniwersytetu Wrocławskiego, logopedii medialnej Uniwersytetu Gdańskiego oraz studium emisji głosu Uniwersytetu Wrocławskiego. Autorka powieści „Ekstrawagantki”, felietonów „Rzeczpospolitej”, artykułów teatrolologicznych i recenzji naukowych, właścicielka Laboratorium Kształcenia Głosu i Logopedii Artystycznej „Profesor Higgins”, współautorka książki „A Prometheus on the human scale – Ignacy Łukasiewicz”.

Tłuszcz bez wartości

„Wiem o tej ropie, że tam jest. Chcesz, to destylluj sobie z aptekarzem. Ja się w to nie mieszam. Posłałem próbkę do Mnichowa, na ręce Rogujskiego – ucznia Liebiega. Tam uczniowie Liebiega orzekli: To jest tłuszcz bez wartości. Skoro sławni chemicy niemieccy nie widzą w tym zysku i ja go nie wydobędę.”²

– usłyszał pan Tytus Trzeciecki z Polanki koło Krosna, gdy swojemu sąsiadowi Karolowi Klobassie. właścicielowi wsi Bóbrka, złożył propozycję wspólnego bicia szybu w jego lesie pod kierunkiem farmaceuty Ignacego Łukasiewicza.

Mnichów – to, oczywiście, spolszczona nazwa Monachium. Zaś Justus von Liebig był wówczas, w roku 1854, co najmniej od dwóch dekad europejskim autorytetem chemii organicznej. Król Bawarii ufundował mu w Monachium imponujący instytut. Zjeżdżali tam ze świata chemicy i entuzjaści nowoczesności na wykłady, pokazy i eksperymenty w bajecznie wyposażonych laboratoriach. Instytut połączony był z willą mieszkalną dla guru Liebiega, byleby tylko zechciał on, na osobistą zresztą prośbę króla, pracować na chwałę kraju i nowoczesnej dyscypliny nauki niemieckiej.

Czyż więc ktokolwiek nie ugiąłby kolan wobec diagnozy takiego autorytetu jak Liebig, który w swojej dziedzinie mógł równać się jedynie z Ludwikiem Pasteurem? Gdy cały świat naukowy stracił już nadzieję na rozszyfrowanie ropy naftowej i bez żalu odstąpił ją biedakom do wyciskania jej ze szmat, ściągania z końskiego włosia maczanego w tłustych kałużach lub prymitywnych dołach, do garbowania skór, smarowania czego się da, dla ludowej medycyny, czy w najlepszym razie do prostej fabrykacji asfaltu. Ignacy Łukasiewicz nie znał, co to pany.

W odróżnieniu od nich wszystkich, nie wyłączając Karola Klobassy, inżyniera wykształconego na zagranicznych uczelniach, Łukasiewicz wiedział jak bardzo „najsławniejsi uczeni niemieccy” się mylą. W roku 1854 potrafił już otrzymać z szaleńczo wybuchowej ropy bezpiecznie palący się produkt, a rok wcześniej opracował nowatorską konstrukcję lampy, w której mógł własność owej frakcji wykorzystać. Te pierwsze dwa wielkie kroki w dziejach

² Morawski Sz., *Świątek Boży i życie na nim*, Rzeszów 1871, s. 56.

ludzkości dawały nadzieję na tanie światło, na które byłoby stać wszystkich. Zbiedniałym rodakom i ich ziemi otwierały perspektywy nowego życia. Do dzieła przemysłowego wydobycia i rafinacji ropy naftowej, zwanej przez Polaków jeszcze jakiś czas olejem skalnym lub skalolejem, ten aptekarz z peryferii Europy, które właśnie stawały się światowym centrum naftowym, był doskonale przygotowany.

Ów pierwszy deal Łukasiewicza z Trzecieskim i Klobasą miał miejsce równo 166 lat temu i ten rok 1854 jest wielką, jasno, bezdyskusyjnie określoną datą inauguracji światowego przemysłu ropy naftowej. Prologiem tego wielkiego początku było zapisane w historii rok wcześniej pierwsze, publiczne oświetlenie łukasiewiczowską lampą naftową sali operacyjnej we Lwowie.

Ropa z Bóbrki od pierwszych jej beczek przechodziła cały cykl od wydobycia przez profesjonalną rafinację, równoległą przeróbkę petrochemiczną, promocję produktów naftowych w kraju i Europie oraz ich dystrybucję. Układ trzech bobrzeckich inwestorów był także pierwszą w dziejach świata spółką naftową w jak najbardziej współczesnym sensie.

Od daty 1854 liczy się epoka cywilizacji ropy naftowej. Epoka Ignacego Łukasiewicza, która wciąż trwa.

Data ta widnieje na pamiątkowym obelisku wystawionym w bobrzeckim lesie w czasach Łukasiewicza. Od tego roku jeden po drugim powstawały pod jego nadzorem szyby naftowe. Kopane, a z czasem wiercone w coraz doskonalszej technice. Kamienny świadek tego przełomu epok przetrwał i stoi pośrodku fascynującego Muzeum w Bóbrce, na terenie pierwszej kopalni ropy naftowej na świecie. Ropa nieustająco podpływa i lśni tam kolorowo w pięknych, zabytkowych studniach.

Dopiero pięć lat później, w roku 1859, ropa pojawiła się w pierwszym szybie wywierconym na ziemi amerykańskiej, w Titusville, w Pensylwanii, za sprawą upartego i odpornego na szyderstwa inżyniera Edwarda Drake'a. W tym roku Łukasiewicz zbierał już laury i dyplomy za produkty naftowe z bobrzeckiej kopalni i ulaszowickiej rafinerii jako wystawca targów przemysłowych, o czym donoszą ówczesne gazety.

Wkrótce gorączka czarnego złota raziła piorunem świat, a bracia Noblowie ruszyli po miliardy do Baku tonącego w czarnym, tłustym błocie. Ich prestiżowym doradcą w kwestii bezcennego tłuszczu stał się niejaki Justus von Liebieg.

XIX stulecie nieodpornych

„Powietrze, głód, ogień i wojna” – cztery śmiertelne dopusty ludzkości, które przejmują dreszczem w hymnach, wersetach dawnych poetów i w kościelnych błaganiach nie schodziły z repertuaru wieku XIX – czasu wojen i rozład politycznych a dla nas nieszczęsnego stulecia polskiej niewoli pod eksterminacją obcych kolonizatorów.

Urodzonemu w 1822 roku Ignacemu Łukasiewiczowi ta kwadryga jeźdźców zagłady znana była od dzieciństwa. Trzebiła ona Europę, a tym bardziej nie oszczędzała Polaków, którzy cały XIX wiek i dekady przeszłe oraz późniejsze płacili tragiczną cenę utraty niepodległości. XIX stulecie, w którym kraje wolne notowały, mimo wszystko, naukowy i techniczny skok cywilizacyjny, ziemia polska była tanim poligonem zaborców: przemarszów armii sąsiedzkich, wzajemnych rozgrywek i wspólnych, przyjacielskich parad wrogów, grabieży chciwców żądnych cudzego mienia, przestrzeni, żywności, niewolników i armatniego mięsa bez prawa do skargi w ojczystej mowie.

Galicja, w której urodził się i całe niemal życie spędził Łukasiewicz, była częścią dawnej Rzeczypospolitej zaanektowaną przez Austrię i idealną sceną dla hulank morowego powietrza, głodu, ognia i wojny. Była bankrutującą, rolniczą, przeludnioną prowincją, w której znaczniejszy ruch przemysłowy miał się zacząć dopiero za naftową sprawą, w drugiej połowie wieku, a gruźlica, tyfus, dur brzuszny, dżuma, cholera, ospa nieodłącznie towarzyszyły jej mieszkańcom. Nauki przyrodnicze wprawdzie, tak jak fizyka i chemia, przybierały wówczas coraz większe tempo rozwoju, ale w kwestii etiologii i leczenia chorób zakaźnych nieśpiesznie zaliczały zbawienne odkrycia. Pojęcia bakterii czy wirusa były wówczas jeszcze kompletnie nieznane. Efekty prac nad wynalezieniem szczepionki przeciwko cholercie miały przyjść dopiero pod koniec wieku w laboratoriach Ludwika Pasteura i Roberta Kocha.

Pierwszą epidemię cholery przywlokło do Warszawy wojsko rosyjskie, gdy runęło w odwecie za powstańczy bunt listopada 1831 roku. Zaraza błyskawicznie ogarnęła polskie zabory i całą Europę, nie oszczędzając wyspiarskiej Anglii. W roku 1832 w czteromilionowej Galicji owa pierwsza epidemia cholery zebrała około stu tysięcy ofiar. Gdyby ten skutek przełożyć na dzisiejszych czterdzieści milionów Polaków, wyszłoby nam milion zmarłych.

To właśnie wtedy w burzliwie rozwijającej się, przemysłowej Anglii, zrodziła się idea nabywania odporności stadnej. Teoria ta wymyślona przez ekonomistę Malthusa głosiła, że epidemie są z punktu widzenia budowania dobrobytu całkiem korzystnym dla kraju sposobem naturalnej selekcji słabej, niedożywionej ludności, a idea ta także dziś okazuje się zdumiewająco żywotna, poręczna i ceniona w Europie. Takie światowe trendy nie przebiły się jednak do zacofanej Galicji, gdzie w czasie pandemii jednym głosem wszyscy – artyści, poeci, pisarze, lud miejski i wiejski pospołu z mieszczaństwem, inteligencją, dworem i arystokracją z pałaców wznosili raczej błagalne wezwania ku niebu.

Złe roki

W 1855, w drugim roku pracy Łukasiewicza w Gorlicach i Bóbrce, przez Europę przetoczyła się kolejna pandemia cholery.

Zaraza ta rozpanoszyła się po krańce kontynentu. Dopadła małe Lourdes u stóp Pirenejów, gdzie, pośród innych, ugodziła i pozbawiła zdrowia jedenastoletnią Bernadettę, przyszłą świętą. Ta sama fala w dalekim Konstantynopolu, gdzie w życzliwej Turcji sprawa polskich legionów przybrała realny obrót, posłużyła za pretekst do wyjaśnienia nagłej, w ciągu kilkugodzinnej niedyspozycji, śmierci ich animatora Adama Mickiewicza. Dmuchnęła morowym powietrzem po galicyjskim Podkarpaciu. Dopadła Gorlice.

Na galicyjskiej prowincji cholera w roku 1855 miała przygotowany grunt poprzez ciąg plag lat poprzednich. Wstrząsający opis tego czasu daje Władysław Orkan, pisarz rodem z beskidzkiej wsi, w niezwyklej, paradokumentalnej powieści „*Pomór*”. Początkiem tego okresu była narodowa tragedia. W lutym 1846 roku chłopci podburzeni po galicyjskich karczmach przez austriackich agentów plotką, że szlachta będzie ich mordować, rzucili się pod wodzą herszta

Jakuba Szeli do rzezi panów, oficjalistów dworskich i księży. Mordowali ziemian, niszczyli i grabili dwory i plebanie. Właśnie od skutków tej strasznej prowokacji Orkan zaczyna opowieść o przebiegu galicyjskiej zarazy:

„Było to w czasie, kiedy Pomsta przeszła po dworach i ostawiła za sobą powyłukane okna, porozbijane sprzęty, pootwierane stodoły, a gdzieniegdzie spaleniska albo i trupy. Strach było patrzeć na to zniszczenie okrutne. Widziało się: jakiś duch zatrąty dmuchnął piekielną siarką po pałacach. I nie było jednego dworu na znanym obszarze kraju, który by od tej podmuchy ocalał. Wszystkie stały, jeśli nie rozwalone – w zaniszczeniu – i podawały czoła do upadku. Gdzieniegdzie mur jeno sterczał albo komin wysoki nad ziemią a reszta się już rozsypała i zalegała miejsca pokoi dawnych kupą gruzu. (...) w chałupach sto razy przykrzejsza nędza zagnieżdziła się niż przedtem.

Nastaly roki złe...”³

„Roki złe” po 1846 zesłały więc polskiej ziemi w austriackim zaborze nie tylko przemarsze rosyjskich i austriackich wojsk europejskiej rewolucji zwanej Wiosną Ludów, ale także następstwa narodowej tragedii. Chłopsztwu, którego życie dotąd organizował dwór, przyniósł głody, epidemie i rozliczne nieszczęścia niby karzący pogrom za grzech bratobójstwa. Bo najdziwniejsze, przejmujące metafizycznym dreszczem było to, że z miejsca po tragicznych wypadkach zwały się na Małopolskę Zachodnią wieloletnie klęski żywiołowe w niespotykanym nasileniu – nieurodzaje, powodzie, susze, a z nimi choroby ludzi i zwierząt. Iście biblijne plagi przeplatały się, nie dając odetchnąć ludziom przez kilka lat. W miastach panowała drożyzna, ale i tak brakowało żywności.

„(...) ziemi nikt nie cenił, odkąd przestała rodzić. Tak, jak żeby zły szatan urok na nią rzucił. Co kto wsiadł - nie urosło, co kto wsadził - zgniło. Przyszło kopanie, to kilkoro cały dzień boży kopało, a na wieczór nie mieli co w koszykach nieść. I różnie ludzie dumali w swoich mętnych głowach. (...) Ale byli też i tacy, co się w swoich sumieniach rachowali i pozierali ze skruczą ku niebu; czuli w sercu za co ta kara przyszła i nie śmieli na głos wołać o zmiłowanie.

³ Orkan W., *Pomór*, Lwów-Warszawa-Poznań-Kraków, Lublin, s 1-2.

Już trzeci rok się zaczął tej pokuty ciężkiej. już - widziało się - nic cięższego przywalić nie może, a tu jeszcze straszniejsze fale się zbliżały, jeszcze gorsze dla ludzi nawały i klęski."⁴

„Gorsze nawały i klęski” – to była upiorna spółka głodu i zarazy. Stanisław Szczepanowski w dziele „*Nędza Galicji*”, podawał, że jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych średnia długość życia mężczyzn w zaborze austriackim wynosiła dwadzieścia siedem lat. Kobiet półtora roku więcej.

Epidemia odkrywa Bóbrkę

Na początku fatalnego roku 1846 Ignacy Łukasiewicz jako dwudziestoczerolatek po aptekarskim, zawodowym egzaminie tyrocynalnym, pracował w rzeszowskiej aptece i finalizował jednocześnie organizację zbrojnego przejęcia władzy w mieście w strukturze ogólnokrajowego spisku. Wyprzedzający, austriacki plan wymordowania polskiej szlachty rękami ludu miał swoją perfidną logikę. Polacy po dworach rzeczywiście organizowali powstanie, ale przeciwko Austriakom, a nie przeciw polskim włościanom.

Agentura austriacka wytropiła rzeszowski spisek, a Łukasiewicz kolejne dwa lata przecierpiał w ciężkim więzieniu. Podczas śledztwa posypali wówczas nawet sławni twardziele, ale on niezłomnie, inteligentnie wszystkiemu zaprzeczając, został zwolniony. Jak świadczą poważne poszlaki, nie bez znacznej łapówki równej wysokości udziału ze sprzedaży rodzinnej kamienicy. Dwa lata przed przyjazdem do Gorlic, w roku 1852, obronił dyplom magistra farmacji na uniwersytecie wiedeńskim i zatrudnił się we lwowskiej aptece. Wszędzie szła za nim urzędowa opinia politycznie podejrzanego. Oko policyjnego dozoru nie straciło go z pola widzenia także w Gorlicach.

Tymczasem, ofiarą chłopskiego napadu stał się w Polance koło Krosna także pan Tytus Trzeciecki, który cudem uniknął śmierci. Schwytany wraz z goszczącym u niego poetą Wincentym Polem, pobity i skrępowany, zdołał uciec z fury w drodze do Jasła, gdzie rzeźmieszków czekała taksa austriackiego starosty od żywego lub martwego polskiego pana. Po kilku latach wrócił do Polanki. Wobec ruiny, braku ziarna na siewy, powyrzynanych

⁴ *Ibidem*, s. 3.

zwierząt, wyrąbanych sadów, zapuszczonych ziem, próbował nowych dróg wyjścia do podniesienia majątku z upadku.

Ropą z Bóbrki zainteresował się, gdy podczas epidemii motyli zwierząt miejscowy znachor wyleczył nią stado owiec. Trzecieski jako człowiek wykształcony, inżynier górnictwa, najpierw sam usiłował rozgryźć naturę tej dziwnej cieczy. Urządził laboratorium chemiczne. Zapalił do współpracy Wincentego Pola – poetę, ale także entuzjastę nauk, przyszłego profesora i twórcę drugiej na świecie Katedry Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo usilnych, pełnych zapалу i poświęcenia, bo eksplozywnych, prób, przyjaciele dali w końcu za wygraną, a Tytus Trzecieski udał się do stołecznego miasta Lwowa z butelką ropy pod pachą. Po bezowocnym, długim rekonesansie, natrafił wreszcie na prezesa lwowskiej izby handlowej, dzięki któremu dowiedział się, że najlepszy i właściwie jedyny znawca ropy nazwa się Łukasiewicz i dopiero co wyprowadził się do Gorlic. Do miasta położonego w tym samym obwodzie jasielskim, co jego Polanka i Bóbrka Klobassy. Może był to fuks, szczęśliwy zbieg okoliczności, a może bieg rzeczy zapisany w księdze świata.

Japtykorz z prowincji

Jako już potężny, bardzo bogaty nafcjarz, Łukasiewicz wciąż osobiście leczył i doglądał w swoich włościach i przedsiębiorstwach robotników kopalń i destylarni oraz lud wiejski. Nie pozwalał, żeby włościanie zwracali się do niego jak do dziedzica. Do końca życia ze wszystkich godności i zaszczytów, w jakie go przybierano, akceptował jedynie tytuł japtykorza.

Gdy sprowadził się do Gorlic w roku 1854 miał trzydzieści dwa lata i był dopiero farmaceutą na dorobku. Szczęśliwie, tu pojawiła się dla niego nie tylko szansa pracy w aptece i wkrótce pierwszej w życiu, samodzielnej jej dzierżawy, ale też w Gorlicach miał warunki do efektywnych prac nad ropą. Około cztery, kolejne, pracowite lata krążył pomiędzy Gorlicami, Bóbrką, Jasłem i Ułaszowicami, gdzie zbudował pierwszą na świecie, profesjonalną rafinerię naftową.

Apteka gorlicka z pewnością była przyzwoitym źródłem utrzymania. Łukasiewicz zatrudniał w niej drugiego magistra – przyjaciela z lat krakowskich studiów – Walerego Rogawskiego –

oraz dwóch pomocników aptecznych. Były to czasy, gdy na zapleczu aptek wykonywano większość sprzedawanych specyfików. Farmaceuci wyrabiali pigułki, nalewki lecznicze, plastry. Kręcili maści, tłoczyli oleje, produkowali przebogaty asortyment artykułów dla gospodarstwa domowego i rzemiosła: smary, trucizny na insekty, świece, kosmetyki, mydła, wody toaletowe, a nawet pomadki do ust, fajerwerki i strzelające korkami lemoniady.

Pracy w takiej jedynej w mieście aptece było więc moc, ale w Gorlicach Łukasiewicz wykorzystywał swoje zawodowe szanse także na pozaaptecznych polach. Jako miejski toksykolog i analityk udzielał się w sprawach wymagających ekspertyz z dziedziny medycyny sądowej. Toksykologia była działem bardzo poważnie traktowanym na farmacji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Łukasiewicz podczas krakowskich studiów wyszedł spod ręki wielkiego profesora, lekarza i toksykologa Floriana Sawiczewskiego - właściciela słynnej apteki na roku Floriańskiej i linii A-B w Rynku. Trucizny, a zwłaszcza arszenik, w tym wieku żywiołowej emancypacji chemii fascynowały nawet szeroką publiczność. Widać, trucicielstwo nie omijało także Gorlic.

Jako „*dyplomowany botanik i zoolog*” Łukasiewicz zaangażował się równocześnie w prace Komisji Lasów Gorlickich. Po dwóch dekadach praktyki z najróżniejszymi surowcami roślinnymi, które zalegały wielkie przestrzenie tzw. materialni na strychu każdej, ówczesnej apteki, a także po intensywnych studiach pod kierunkiem wybitnego lekarza, fizyka, botanika i opiekuna krakowskiego, uniwersyteckiego ogrodu botanicznego profesora Ignacego Czerwiakowskiego, przy właściwej sobie rzetelności, Łukasiewicz i z tych zadań wywiązywał się z najwyższą fachowością.

Gorlickie archiwa zachowały jeszcze jeden ciekawy trop jego aktywności - korespondencję urzędową w sprawie posady kasjera miejskiego, na którą rekomendował Łukasiewicza miejski samorząd. Jest tam pismo gubernialnych władz austriackich z mętnie uzasadnioną niezgodą na przyznanie mu tej państwowej posady. Prawda była taka, że Austriacy preferowali obsadzanie galicyjskich stanowisk i urzędów Czechami lub Węgrami a dodatkowo kartoteka antyaustriackiego wichrzyciela nie traciła swojej mocy.

Różne te wysiłki Łukasiewicza - dzierżawcy, bądź co bądź, dochodowego interesu aptecznego, świadczą o przemożnej potrzebie dodatkowego zarobku. Jest to zrozumiałe. Biznes

naftowy wymagał inwestycji, a rozkręcać się miał jeszcze parę lat. Łukasiewicz wciąż, niezależnie od prac zewnętrznych, doskonalił na zapleczu apteki metodę rafinacji ropy w prywatnym, specjalistycznym laboratorium. Właściwie, gdyby nie szlachetna postawa Klobassy, który przez pierwsze lata odmawiał pobierania czynszu za eksploatację lasu w Bóbrce, sprawa nafty mogłaby się bardzo opóźnić.

Kiedy wielkie dochody z nafty wreszcie przyszły, Łukasiewicz jeszcze dłuższy czas traktował aptekę jako najpewniejszą podstawę bytu. Tym bardziej, że właśnie w tym gorlickim okresie życia przyszedł na niego, nieco starszawego już kawalera, czas ożenku. W jego sferze zbiedniałej, ale jednak szlachty, był to zamiar dość kosztowny. Szczególnie przecież dla niego. Człowieka, który od dzieciństwa, jako pólsierota, nie tylko nie dostawał wsparcia od zubożałej rodziny, lecz jeszcze ją wspomagał i pracowicie, samodzielnie, przebijał się przez życie, a w Gorlicach pozycję i równowagę materialną wciąż zdobywał.

Ludzie i bakcyle

Niewiele jest miejsc, w których pielęgnuje się pamięć wielkich doświadczeń ludzkości jakimi były zarazy gnębiące w przeszłości świat, a takim miastem są właśnie Gorlice. Od trzystu lat, rokrocznie przez pokolenia, Gorlice wspominają cudowny ratunek podczas epidemii dżumy. Co roku dziewczęta o imieniu Maria przybrane w biało-niebieskie szaty idą tam w procesji z zapalonymi świecami każdego 8 grudnia, w święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Natchnienie takiej błagalnej procesji, przedziwnie skutecznej w czasie epidemii szalejącej przez dwa lata wokół Gorlic na początku XVIII wieku, miała we śnie otrzymać miejscowa dziedziczka.

Na ogół jednak, niebiosy potrzebują jeszcze bardziej aktywnej współpracy ludzi. Po ponad stu latach po tamtej epidemii dżumy, niezapomnianym, charyzmatycznym obrońcą Gorlic przed cholera w roku 1855 okazał się aptekarz Ignacy Łukasiewicz. Później, o Łukasiewiczu – milionerze poświęconym bez reszty nafcie i ludziom – będzie się dużo mówiło na całym Podkarpaciu. Będzie się plotkowało, że drogi w krośnieńskim wybrukowane są jego guldenami. W roku 1855, w roku epidemii cholery, nikomu aż tak wielkie bogactwo Łukasiewicza się nie śniło, łącznie z przyszłym krezusem, a mimo to ów skromny przybysz na dorobku po niezbyt

długim pobycie w mieście opuszczał je jako jeden z najświetniejszych, nieodżałowanych obywateli. Format tego człowieka nie był wypadkową jego stanu materialnego.

Nie ujmując pamięci niezwykle zasłużonego dla miasta Walerego Rogawskiego, który do końca życia pozostał w Gorlicach i odegrał bohaterską rolę podczas powstania styczniowego w roku 1863, opinia wielkiego charyzmatyka, opiekuna zarażonych cholera nie przyłgnęła ani do niego, ani do nikogo innego. Nie ma też przesłanek, że w owym czasie był w Gorlicach jakiś lekarz. Przypuszczenie to wydaje się potwierdzać fakt, że na jednego ze świadków swojego ślubu oprócz magistra Rogawskiego Ignacy wybrał Alojzego Krziża, który był lekarzem, ale w obwodowym Jaśle.

Jak zatem wyglądały realia zarazy przeszłych wieków? To temat zastanawiająco niechętnie opisywany, jak na tak od początku świata nieodłączny element życia, o którym dopiero w drugiej połowie XX wieku, dzięki medycynie, ludzkość mogła zapomnieć. Dziwnie rzadko motyw epidemii pojawia się też w literaturze pięknej. Jest w tym na pewno i wyparcie, i paraliżujący strach, który nas czyni dziećmi. Mocno zaciskamy powieki przed obrazem hekatomb, która nas przerasta. Stąd pewnie wziął się i Nobel za „Dżumę” Alberta Camusa, i fakt, że powieść ta dotąd jest na świecie pierwszoplanowym, artystycznym studium epidemii. Zapisem przebiegu zarazy od złowróżbnych sygnałów pomoru szczurów aż po apogeum zagłady ludzi i jej finał.

„Bakcyl jest dziwny.

– O, nie podzielam pańskiego zdania - rzekł Castel. Te bestie zawsze wyglądają oryginalnie, ale w gruncie rzeczy nigdy się od siebie nie różnią.

– Tak pan przypuszcza. Ale my przecież nic nie wiemy.

– Oczywiście, że przypuszczam. Wszyscy jesteśmy zdani na przypuszczenia.”⁵

– pisze Camus.

⁵ Camus A., *Dżuma*, Warszawa 2011, s. 43.

Tymczasem, galicyjskie realia XIX – wiecznej epidemii z pewnością przebijały skalą horroru opisy Camusa. Powieść francuskojęzycznego autora dotyczy bogatego miasta Oran i to sto lat później, gdy były szczepionki i godziwe szpitale. Ale i to też wielka prawda, że każda bestia zarazy, czy jest dżumą, tyfusem, ospą, trędem, czy cholera zaprowadza identyczne, bezwzględne prawa i wyzwała określone postawy ludzkie. Niewiele tu ma do rzeczy nawet poziom medycyny. Tak więc, nawet w XX wieku jak i w przeszłości, bywało, porzucano chorych na pastwę losu, zabijano deskami „zapowietrzane” domy z dogorywającymi w środku, podpalano, wywożono na cmentarze ludzi jeszcze żywych. Wszędzie i zawsze. W Oranie i w Galicji, na całym świecie, bez wyjątku. I w światłej ciemnocie doby koronawirusa widzimy na własne oczy, że w godzinie próby słowa „powołanie”, „służba”, „empatia”, „miłosierdzie” wynurzają się z lamusa zapomnianych pojęć ludzkości i medycyny. Camus wspomina:

„Jednakże z kilku domów dochodziły jęki. Ale po tylu alarmach serca stały się nieczule i wszyscy przechodzili lub żyli obok skarg, jak gdyby były one naturalnym językiem człowieka.”⁶

Tak rutynowo działa zaraza.

Polski „Pomór” Władysława Orkana pisany z doświadczeń jego własnej matki jest jednak jeszcze bardziej sugestywny. Bez wątpienia prawdziwie odzwierciedla także to, co działo się w gorlickim parę lat później. Trudno przebrnąć przez ten opis, a potem zapomnieć rzeczywistość epidemii jakiejś nierozpoznanej bliżej choroby nazwanej tu, po prostu, „łożnicą”, jako że doktora tam nikt nie widział. To obraz tragedii podsycanej głodem i galicyjską nędzą ludzi ginących pokotem, doprowadzanych do pomieszania zmysłów i zdziczenia, które nie były, zresztą, niczym niezwykłym także podczas kolejnych, lokalnych epidemii i następnej, trzeciej, wielkiej epidemii cholery już u progu XX wieku, a i następnych, późniejszych.

Zbiorowe mogiły ofiar cholery omijane z bojaźnią, kopane w miejscach położonych daleko od ludzkich siedlisk, porasta dziś trawa zapomnienia. Kiedyś znaczyły je ponure karawaki – choleryczne krzyże z dwiema, poprzecznymi belkami, które z czasem pozapadały się w ziemię. Tylko tam, gdzie zachowały się dawne księgi parafialne, a w rubryce „przyczyna

⁶ *Ibidem*, s. 77.

śmierci” zapisano „grassante”, umarli z powodu grasującej zarazy nie są anonimowi. Od połowy XX wieku ludzie przestają kojarzyć także specjalizacje patronów niektórych cmentarzy, jak choćby domenę świętego Rocha – opiekuna nekropolii częstochowskiej, czy świętej Rozalii od cmentarza w Bochni i innych. A to pamiątki po cholery i dżumie.

1855. Gorlice w cieniu karawaki

W Gorlicach Łukasiewicza połowę ludności około pięcioletniego miasta stanowili Żydzi wraz ze swoimi ulicami oraz samorządem. Miasto dożywało wówczas dni świetności „*małego Gdańska*” jako centrum handlu zbożem, bydłem, węgierskim winem oraz miejscowym płótnem, co koniec końców ukróciły austriackie reorganizacje.

Podczas epidemii cholery w roku 1855 prawdziwym mężem opatrznościowym także dla ludności żydowskiej okazał się Ignacy Łukasiewicz. Z jednakowym zaangażowaniem i bezinteresownym oddaniem Łukasiewicz ratował wszystkich bliźnich, tak chrześcijan, jak i wyznawców religii mojżeszowej. Prawdopodobnie, było to dzieło miłosierdzia zarówno niespotykane jak i skuteczne, co z właściwym sobie pragmatyzmem potrafili docenić właśnie, przede wszystkim, Żydzi. To dzięki nim skala opieki medycznej Łukasiewicza i jego poświęcenia w zwalczaniu cholery nabrała rozgłosu.

W rezultacie, gdy dwa lata później, w roku 1857, po ślubie Łukasiewicza rozeszła się w Gorlicach pocztą pantoflową wieść, że wyprowadza się on do Jasła, gmina żydowska wysłała delegację z petycją, żeby nie wyjeżdżał. Prośba ta poparta była niezwykle argumentem. Gmina proponowała, że będzie pokrywać koszty czynszu dzierżawnego apteki, byleby tylko pan Łukasiewicz zechciał pozostać w mieście.

Ku rozczarowaniu gorliczan, Łukasiewicz był już jednak zbyt zaangażowany w prace kopalni w Bóbrce i destylarni w Ulaszowicach. Urządzał swoje pierwsze mieszkanie małżeńskie w Jasle, gdzie obejmował aptekę, drugą w Brzostku mając na widoku. Do Gorlic przestawało mu być po drodze. W dodatku, przyszedł też Walerego Rogawskiego postawił warunek temu poważnie wówczas zaangażowanemu narzeczonemu, że zanim panna za niego wyjdzie, to on musi wprawdzie zdobyć własną aptekę. Łukasiewicz odstąpił firmę Rogawskiemu bez problemu

z całym zapewne przekonaniem, że Gorlice na tym nie stracą. Nie byłby sobą, gdyby nie poszedł na rękę przyjacielowi.

Bo też „*Dżuma może odejść, ale serce ludzkie pozostanie*” – to sentencja z tekstu najsłynniejszej powieści Camusa. „*Serce ludzkie*” z ekstremalnej walki o przeżycie wychodzi święte lub grzeszne, bardzo często poranione. Charyzmatycznego doktora Rieux z „*Dżumy*” zwykło się uważać wręcz za uosobienie świętego. Jak nazwiemy heroiczną misję Łukasiewicza, której w tak poważnej skali nikt od niego nie wymagał oprócz niego samego? W końcu, był tylko aptekarzem.

Świętszy niż Rieux

Bywało, że Ignacy w młodym wieku narażał się na burę od pryncypała, gdy wychodził na jaw jego tajny proceder. Dyżurując sam w aptece, nie potrafił odmówić pomocy różnym nieborakom i to była jego przypadłość nieuleczalna. Podczas cholery w roku 1855 w Gorlicach, biegli w rachunkach Żydzi, całkiem słusznie mogli przypuszczać, że ten aptekarz nie zawsze wychodzi najlepiej na leczeniu biedoty. Niedługo, jako nafciarz mając możliwości finansowe, miał zyskać przydomek dobroczynnego „Ojca” całej okolicy.

Jakim sposobem udawało mu się leczyć cholere? Doktor Rieux z „*Dżumy*” sto lat później miał jednak zastrzyki z serum i wiedział, co to bakterie. Łukasiewicz nie miał zastrzyków i nie mógł mieć, według dzisiejszej wiedzy, dobrego lekarstwa na tę potworną chorobę, która w krótkim czasie zamieniała najpiękniejszego człowieka w cierpiące, przerażające, tragiczne, dysfunkcyjne monstrum o pomarszczonej skórze, stężonych rysach twarzy, zapadniętych oczach i straszliwym, cholerycznym głosem. Nie bez przyczyny nazwa akurat tej choroby spośród innych chorób zakaźnych stała się w polszczyźnie przekleństwem. Być może, przekleństwo to nieco straciło z czasem na wulgarności, ale w dalszym ciągu nim jest.

Pewne jest jedno – metody działania Łukasiewicza podczas epidemii cholery musiały być jak najbardziej nowoczesne, gdyż zdały egzamin.

Faktem jest, że był on doskonale zorientowany w światowych trendach medycyny. Znał obcojęzyczną literaturę. Archiwalny spis inwentarza jego apteki w Brzostku jest

z dumiewającym dowodem na wyjątkowo wysoki poziom jej wyposażenia zarówno w aparaturę laboratoryjną i specyfiki, których liczba i klasa przewyższały znacznie urzędowe wymagania przepisów ówczesnej, austriackiej farmakopei. Jest to dowód, że Łukasiewicz stosował tradycyjne, jak i najnowsze leki i terapie, które miały być zalecane przez przepisy dopiero lata później, zarówno jak nowoczesny system miar i wag, którego używał w odróżnieniu od wielu innych, przeciętnych farmaceutów.

Po studiach utrzymywał on kontakt ze środowiskiem aptekarzy i profesorów farmacji. Korespondował ze swoim byłym promotorem magisterium Józefem Redtenbacherem, wiedeńskim profesorem chemii, nota bene, byłym kolegą ze studiów Justusa von Liebiga. Próbował nawet, aczkolwiek bezskutecznie, zainteresować również Redtenbachera ropą naftową.

Nie jest wykluczone, że Łukasiewicz znał odkrycia węgierskiego profesora Ignaza Semmelweisa, żyjącego w tym samym imperium austriackim zlepionym z podbitych narodów. Nazwisko tego pioniera antyseptyki także epidemia koronawirusa wydobywa z mroku dziejów, gdyż to on pierwszy, w roku 1847, rozpoczął batalię o dezynfekcję zawsze czystych z natury rąk lekarzy, z powodu których w ubiegłych wiekach masowo umierały w gorączce połogowej ich pacjentki. Niemożliwe, żeby pięć lat później, studiując w Wiedniu, Łukasiewicz nie usłyszał o niesłychanym zjawisku, że na oddziale Semmelweisa po wprowadzeniu obowiązku mycia i odkażania rąk medyków kobiety przestały umierać. Dżentelmeni jeszcze długo wprawdzie nie dawali się co do tego przekonać, ale, sukcesy lecznicze w walce z cholera wydadają się świadczyć, że Łukasiewicz do nich nie należał. Jego orężem, po prostu, musiało być to, czym także dziś człowiek przeciwstawia się zarazie - czyste, umyte ręce. Higiena.

Z niemal stuprocentowym prawdopodobieństwem można także przypuszczać, że to on osobiście i z własnej inicjatywy zadbał o stan miejskich studzien. Zakażenie wód jest główną przyczyną szerzenia się cholery, a chociaż przecinkowca cholery wykrył dopiero po latach Robert Koch, to przecież empirycznie, od dawna zauważano bezpośredni związek pomiędzy stanem wody zanieczyszczonej odchodami ludzkimi i zwierzęcymi, a szerzeniem się chorób. Po doświadczeniach poprzednich epidemii, także w roku 1855, władze Galicji czyniły nawet próby polepszenia stanu sanitarnego miast. Wydawały zarządzenia co do ujęć wody, sprzątania

ulic i posesji, ale trudno powiedzieć, co działo się w praktyce, zważywszy poziom medycyny, higieny, kondycji bytowej i świadomości ogółu, które były w fatalnym stanie.

Jak zachowały się wówczas władze gorlickie, nie wiadomo. W roku 1874, czyli w niespełna dwadzieścia lat później, pożar wzmagany porywistym wiatrem w ciągu kilku godzin, strawił ponad czterysta gorlickich domów i kościoł.

„Wszystkie akta sądowe, starościńskie, notarialne, rady powiatowej i urzędu gminnego, z wyjątkiem urzędu powiatowego, spłonęły do szczętu.” – podaje *„Słownik Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”* w tomie z roku 1881.⁷

Miasto odbudowało się, ale wraz ze spalonymi aktami i dokumentami zapewne uleciały arcyciekawe fakty związane z pracą i życiem Ignacego Łukasiewicza. Do dziś za to dotrwały szczątki krakowskich akt policyjnych i sądowych z jego lat studenckich, gdy, po warunkowym zezwoleniu mu na wyjazd ze Lwowa do Krakowa, nie spuszczała z niego oka austriacka szpiegostwa. Któryś z nich niechcący przyczynił się do zachowania dla potomności dokumentu przepysanej historii, która dostarcza ciekawych przesłanek. Wyśledził, że ten politycznie skompromitowany spiskowiec trudnił się zatrutowaniem krakowskich studzien, co stało się podstawą oskarżenia o zamach na zdrowie i życie władzy. Nie pierwszy to tego typu przypadek, że dzięki akcji policyjnych konfidentów, znamy dziś hardą, szyderczą replikę Polaka – *„Nie znam takiej trucizny, która by tylko Niemcom szkodziła!”* – zapisano w protokole rozprawy sądowej.

Ta kapitalna historia jest oczywistym dowodem, że Łukasiewicz podczas studiów parał się badaniem krakowskich wód. Analizy wody pitnej z wodociągu, studzien oraz pokładów wód mineralnych Krakowa i okolic były systematycznie zlecane przez władze miasta uczonym chemikom z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Istnieje sporo krakowskich prac naukowych i wyników szczegółowych badań z tej dziedziny, także publikowanych przez profesora Floriana Sawiczewskiego. Najprawdopodobniej, Łukasiewicz jako student pobierał próbki wód dla

⁷ *„Słownik Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”*, red. Sulimirski F., Chlebowski B., Walewski W., T.II. s. 718.

uniwersyteckiego laboratorium pod kierunkiem któregoś z profesorów. Może usługowo, może w ramach ćwiczeń, na zaliczenie.

Próbując zatem dociec, w jaki sposób skutecznie udawało mu się zwalczać cholere, wydaje się bardzo prawdopodobne, że dbał on przede wszystkim o higienę gorliczan i osobiście, z własnej inicjatywy, doglądał jakości wody pitnej jako właściciel jedyne w okolicy, profesjonalne laboratorium chemiczne i wybitny, profesjonalny analityk. Z pewnością zakazywał używania wody ze skażonych ujęć, wskazywał bezpieczne. Czysta woda do picia podczas epidemii cholery jest warunkiem nie tylko profilaktyki, ale także leczenia chorego, który wymaga pojenia. Co jeszcze mógł stosować Łukasiewicz, skoro był skuteczny? Izolatoria? Polowe lazarety, szpitaliki? Jakieś leki? Jeżeli tak, to pewnie w znacznej mierze „sponsorowane” przez gorlickiego farmaceutę. Podczas epidemii nędzarz zaraża tak samo jak bogacz i bez dbałości o ogół nieodpornych nie byłoby końcowego sukcesu. Jakim też cudem w tym wszystkim on sam przeżył, skoro osobiście odwiedzał siedliska cholery, to zaiste zagadka niezwykła.

Z polskiej gleby

Ignacy Łukasiewicz wyrastał cały, z dziwnej często dla reszty świata, gleby polskiego etosu szlacheckiego XIX wieku, z romantycznych ideałów wolności zanurzonych w pozytywistycznym pragmatyzmie pracy dla dobra wspólnego. Jedną z wielu niezwykłych cech tej postaci jest to, że dziś, w epoce demokracji, namolnego lansu szlacheckich wolontariatów i najrozmaitszych, pełnych zadęcia i hipokryzji akcji charytatywnych, zwykły opis zasad i postępów Łukasiewicza bywa dość niewdzięcznym zadaniem, bo prowadzi rzekomo w zbyt wysokie jak na wytrzymałość i pojęcie niektórych, idealistyczne rejony, które brzęczą im patosem i szeleszczą papierem.

Jak więc pisać o człowieku, który nie pojmował słowa „konkurencja”, a pierwszy osiągnął nie notowany nie tylko w Galicji, ale w całym Cesarstwie Austro-Węgierskim sukces w biznesie naftowym? O rarogu, który z naiwnością dziecka dzielił się tajemnicami nacierstwa, wiedzą, pieniędzmi, doradą, rezygnacją z patentów na rzecz ogółu. Któremu wewnętrzny imperatyw kazał ratować tragicznie chorych ludzi, na których jęki inni byli głusi, choć ceną tego poświęcenia było jego własne życie. Postawa Łukasiewicza podczas epidemii cholery i jego

niekwestionowany, rzadki sukces w jej zapobieganiu i leczeniu, to tylko jeden z wielu jego niezwykłych postępów. Sukces dla samego sukcesu, splendoru, żądza pieniądza, nieuczciwość w interesach, niesłowność nie istniały w jego świecie. Ten wzór został zresztą odrzucony przez nafcjarstwo, które błyskawicznie stało się areną gry na śmierć i życie o wielkie pieniądze i jest nią także w XXI wieku.

Niezwykłych cech osobowości Łukasiewicza niektórzy, szczególnie często różni światowcy, po prostu, nie pojmują. Jak wówczas, kiedy inżynierowie rozpoczynającego biznes naftowy Rockefellera, przybyli do Bóbrki na przeszpiegi z ofertą wykupu tajemnic technicznych wydobycia, a zwłaszcza rafinacji ropy. Otrzymali od Łukasiewicza pozwolenie na dostęp do wszystkich urządzeń i procesów całkowicie gratis, skwapliwie skorzystali z gościnnej uprzejmości i odwdzięczyli się, wystawiwszy mu opinię oszołoma.

Tak wielkość wyrasta ponad tłumy. Wielki był ten Polak, który przestawił zwrotnice światowej cywilizacji. Wielki jako tytan dziejowego odkrycia, jako niezwykły człowiek, pierwszy nafcjarz świata i zarazem duma polskiej farmacji i polskiego ducha. 8 marca roku 2022 minie równo 200 lat od jego urodzin.

Bibliografia

Anczyc Władysław, *Ignacy Łukasiewicz*, „Kłosy”, nr 847-876. 1882.

Bogactwo Bóbrki, red. Olejarz Barbara, Bóbrka 2009.

Bonusiak Włodzimierz, *Szejk z Galicji: Ignacy Łukasiewicz 1822-1882*, Rzeszów 2007.

Brzozowski Stanisław, *Ignacy Łukasiewicz*, Warszawa 1974.

Camus Albert, *Dżuma*, Warszawa 2011.

Chałubiński Tytus, *Leczenie w cholera*, 1884.

Dzierżawski R., Hewelke O., Janowski W., Zawadzki J., *Cholera, jej dawniejsze epidemie u nas, przyczyny, objawy, zapobieganie i leczenie*, Warszawa 1892.

Estreicher Tadeusz, Tomanek Ludwik, *Chemia zdobywa świat*, Kraków 1938.

Franaszek Piotr, Grata Paweł, Kozicka-Kończakowska Anna, Ruszel Mariusz, Zamoyski Grzegorz, *A Prometheus on a Human Scale – Ignacy Łukasiewicz*, Berlin 2019.

Franaszek Piotr, *Myśl techniczna w galicyjskim wiertnictwie naftowym w latach 1860-1918*, Kraków 1991.

Historia polskiego przemysłu naftowego, red. Wolwicz Ryszard, t.I-II, Brzozów-Kraków 1994.

Hołubiec Jerzy, *Historia lampy*, Warszawa 1975.

Yergin Daniel, *The Quest: w poszukiwaniu energii: o energii, bezpieczeństwie i definiowaniu świata na nowo*, Warszawa 2013.

Morawski Szczęsny, *Świątek Boży i życie na nim*, Rzeszów 1871.

Petrowicz Wincenty, *Rozprawa o cholery*, Lwów 1847.

Przyrowski Zbigniew, *Światło z ziemi, Opowieść o Ignacym Łukasiewiczu*, Warszawa 1984.

Roeske Wojciech, *Ignacy Łukasiewicz 1822-1882*, Warszawa 1982.

Sikora Jerzy, *Ignacy Łukasiewicz*, Katowice 1978.

Sozański Jerzy, *Bóbrka, Naftowe dziedzictwo*, Krosno 1996.

Tomanek Ludwik, *Ignacy Łukasiewicz – twórca przemysłu naftowego w Polsce. Wielki inicjator – wielki jałmużnik*, Miejsce Piastowe 1926.

Tomczyk Ryszard, *Zagrożenia epidemiologiczne na terenie austriackiej części monarchii habsburskiej w XIX w. (do 1914r.). Aspekty prawne i administracyjne, Galicja, Studia i materiały*, nr 1, 2015.

Zuber Rudolf, *Nafta i wosk ziemny w Galicyi*, 1883.